



Mirosław Derecki

## MARIA I JERZY KUNCEWICZOWIE O WRZEŚNIU 1939

MIROSŁAW DERECKI: - Zakończony niedawno telewizyjny serial „Przed burzą” ukazał dramatyczny bieg wypadków rozgrywających się na arenie politycznej i dyplomatycznej Europy w ostatnich miesiącach przed wybuchem II wojny światowej. Wielu Polaków dopiero teraz uświadomiło sobie w pełni atmosferę i stan napięcia panujące wśród ludzi odpowiedzialnych za los państwa przed nadciągającym nieuchronnie konfliktem zbrojnym. Oczywiście tylko nieliczne odgłosy tego, co się działo naprawdę, dochodziły wtedy, w 1939 r., do wiadomości ogółu. Jakie nastroje towarzyszyły ostatnim wakacjom spędzonym przez Panią, sławną już wówczas pisarkę, w Państwa domu, w Kazimierzu nad Wisłą? W jaki sposób oceniał sytuację Pan, człowiek od lat zajmujący się polityką, członek naczelnych władz Stronnictwa Ludowego?

MARIA KUNCEWICZOWA: - Lato 1939 r. spędziłam w Kazimierzu, w domu, który niedawno został zbudowany, w tym właśnie domu, w którym teraz rozmawiamy. Wiosną ukazała się moja ostatnia, przedwojenna publikacja, „Miasto Heroda”, książka wydana przez „Rój”. Były to impresje z niedawnej podróży do Palestyny, Egiptu i Syrii. Całe zaś długie, kazimierskie wakacje zeszyły mi na przemyśliwaniu i robieniu notatek do książki, która miała stanowić jakby drugie skrzydło „Cudzoziemki”. Coraz bardziej narastała we mnie potrzeba szerszego rozpracowania motywu męża Róży - jego prototypem był mój ojciec - który jest w tej powieści znacznie stuszowany przez osobę bohaterki. I tak podczas ostatniego przedwojennego lata powstawały pierwsze fragmenty „Męża Róży”, książki, która nigdy się nie ukazała. Przynajmniej w jej wówczas zamierzonym kształcie...

M. D. - Ale niektóre fragmenty ukazały się przecież w jednym z ostatnich numerów „Wiadomości Literackich”...

M. KUNCEWICZOWA: - Tak. I nawet przypominam sobie, że zaraz po ukazaniu się tego numeru zatelefonował do mnie Tuwim z gratulacjami. Szczególnie podobały mu się te partie tekstu, które nasyciłam białoruskimi powiedzeniami, piosenkami, wyrażeniami gwarowymi. Byłam bardzo zadowolona, bo Tuwim miał niezwykle wyczulone ucho na takie rzeczy. A co się tyczy nastrojów wojennych, to tutaj, w Kazimierzu, prawie się ich nie odczuwało. To było wówczas ciche, trochę zagubione nad Wisłą miasteczko. Piękne,

słoneczne lato; do Kazimierza zjechało jak zwykle wielu znajomych: malarzy, aktorów, pisarzy... Jakoś nie wierzyło się w nadciągającą wojnę.

M. D.: - A jednak pisze Pani w „Fantomach”: „Już w sierpniu Alfred Lauterbach, patrząc na Zuzię (Pruszkowską - przyp. MD) jak na osobę, która nieodwołalnie odejdzie, roztaczał apokaliptyczne prognozy. Spoglądaliśmy ukradkiem po sobie. „Alfred się starzeje”. Któż wiedział, że wkrótce Niemiec go rozwali na warszawskiej ulicy?”

M. KUNCEWICZOWA: - Ależ oczywiście, dochodziły do nas wiadomości ze świata; również te najbardziej groźne. Tylko proszę zrozumieć, że ja i moi rówieśnicy należeliśmy do pokolenia, które zachłysnęło się wolnością. Szczególnie my, artyści, żyliśmy wciąż w jakiejś euforii z powodu odzyskanej niepodległości. Stąd tak często, tak usilnie czepiano się iluzji. Po prostu nie chcieliśmy może dopuścić do świadomości faktu, że po dwudziestu zaledwie latach miraż wolności może prysnąć.

JERZY KUNCEWICZ: - W moim środowisku te sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Byliśmy pewni, że wojna nadciąga nieuchronnie, zdawaliśmy sobie z tego sprawę z całą jasnością. No a poza tym ja wpadałem do Kazimierza tylko w wolnych chwilach, byłem zajęty praktyką adwokacką, siedziałem przez większość lata w Warszawie, a z perspektywy stolicy nadciągająca burza ukazywała się w swojej jak najbardziej realnej postaci. Zresztą, tkwiłem od wielu lat w problemach politycznych. Opublikowałem wtedy „Republikę Globu” i przemyślałem nad dalszymi tomami tej książki.

Ale wspominając nastroje polityczne przedwojennego lata, jakoś najbardziej przychodzi mi na myśl przede wszystkim zdarzenie, które było wynikiem mojej działalności adwokackiej... Otóż na jakieś cztery tygodnie przed wybuchem wojny przejąłem interesującą sprawę, której zrzekł się kolega Roman Knoll. Bank Gospodarstwa Krajowego interesował się sprawą ogromnego na terenie Niemiec majątku prześladowanych tam obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Chodziło o wyegzekwowanie tego majątku. Ze strony Niemiec prowadził tę sprawę adwokat niemiecki posiadający szerokie stosunki w sterach rządzących. Sprawa była ważna, poleciałem więc do Berlina specjalnie wynajętym samolotem. Miałem ze sobą oczywiście potrzebne pełnomocnictwa, szereg dokumentów, ale również - co nie jest błahe dla tej opowieści - ogromną paczkę z prowiantem: masłem, doskonałymi kiełbasami, szynką...

M. D.: - W związku z przekonaniem że w Niemczech krucho z zapasami żywności?

J. KUNCEWICZ: - Oczywiście. Chociaż nie byłem aż tak naiwny żeby wierzyć, że Niemcy przymierają głodem, a czołgi są zrobione z tektury. Ale sądziłem - i nie bez racji - że taką „wałówką” zrobię przyjemną niespodziankę mojemu niemieckiemu koledze - adwokatowi. Jakoż ucieszył się niezmiernie z prezentu, a ja miałem jeszcze większą niespodziankę tego samego dnia wieczorem. Kiedy spotkaliśmy się - już tylko na gruncie

towarzyskim - w restauracji „Zoologischer Garten”...: „Wie pan, kto zjadł dzisiaj pańską kiełbasę?” - zapytał. Nie miałem pojęcia. „Otóż zjadł ją sam Goering!”

Zaczął opowiadać, że widział się z marszałkiem Goeringiem w celu wybadania jak przedstawiają się perspektywy prowadzonej przez nas sprawy. Goering telefonował do Hitlera, który dał odpowiedź rokującą dobre nadzieje. „To wszystko co się dzieje - zauważył adwokat - to tylko gra dyplomatyczna”.

Nie bardzo wierzyłem w zapewnienia Goeringa. Od tego, co się widziało na ulicach, włos się jeżył na głowie. Atmosfera niemal przedbitewna, wszędzie pełno wojska, grupy rozentuzjarmowanej hitlerowskiej młodzieży przebiegające w różnych kierunkach miasta. Co więcej, kiedy wróciłem na lotnisko, zastałem przy samolocie, oprócz pilotów polskich, także dwóch niemieckich lotników. To oni mieli poprowadzić samolot do Polski. Lecieliśmy na wyjątkowo dużej wysokości i najprawdopodobniej inną trasą, omijając - jak się domyślałem - rejony nadgranicznej koncentracji wojsk przygotowanych do ataku na Polskę.

M. KUNCEWICZOWA: - W drugiej połowie sierpnia wpadli do Kazimierza Wierzyńscy. Byli u nas bardzo krótko. Przyjechali jakby na rekonesans, w celu rozejrzenia się za jakąś kwaterą na wypadek wojny.

I jeszcze dwa charakterystyczne fakty: w sierpniu telefonowałam do Ministerstwa Spraw Zagranicznych z pytaniem, czy mam się przygotowywać do szykującego się za granicą kongresu Pen Clubów - Parandowski był wówczas prezesem Pen Clubu polskiego, a Wierzyński i ja - jego wiceprezesami. Odpowiedziano mi z lekką irytacją: „A dlaczego kongres miałby się nie odbyć? Oczywiście, proszę się przygotowywać do podróży”. Drugi telefon był do redaktora Rogoża z „Gazety Polskiej” z pytaniem, czy mam przygotowywać odcinki „Męża Róży”, które miałam nadsyłać od 1 października. Rogoż roześmiał się tylko: „Oczywiście, niech pani wraca do Kazimierza i pisze”.

J. KUNCEWICZ: - A mnie zarekwirovano w Kazimierzu strzelbę myśliwską. Po co im była na wojnie ta strzelba? Do tej pory nie mogę zrozumieć... Przechodząc do spraw poważnych: wkrótce po powrocie z Berlina wygłosiłem na prośbę pułkownika Antoniego Bogusławskiego, znanego warszawskiego poety, odczyt o wrażeniach z podróży. Odczyt odbył się - o ile dobrze pamiętam - w warszawskim lokalu Klubu Kobiet z Wyższym Wykształceniem. Nie ukrywałem prawdy o zaobserwowanych w Niemczech nastrojach, o rzucającym się w oczy uzbrojeniu, a na zakończenie wyraziłem przekonanie, że jeżeli wybuchnie wojna, Niemcy dojdą do Wisły w ciągu dwóch tygodni. Następnego dnia poprosił mnie do siebie pułkownik Pełczyński z Oddziału II i robił wymówki, że ja szerzę defetyzm.

W jednym z ostatnich dwóch dni sierpnia miało się odbyć w Warszawie nieoficjalne spotkanie kilku wysoko postawionych działaczy Stronnictwa Ludowego dla omówienia układów organizacyjnych w łonie Stronnictwa: Bruno Gruszka - ówczesny prezes rady

naczelnej Stronnictwa, Wincenty Witos, Maciej Rataj i ja. Ostatecznie nie doszło do obrad, bo Witos dowiedział się o śmierci żony i musiał nagle wyjechać. Przełożono więc to spotkanie o kilka dni, mieliśmy się spotkać w naszym domu w Kazimierzu.

M. D.: - „...wojna przyszła w nocy. Nie wiem, czy kto pamięta słowa tego komunikatu radiowego, z którego wyłoniła się pewność wojny (...) Noc płynęła ani odrobinę mniej czy bardziej gwiazdna niż wszystkie noce tamtego sierpnia. Księżyc wisiał ogromny, prawie biały. (...) Nic nie zagrzmiało, nie runęło... Petunie pachniały. (...) Sąsiad huknął wśród krzaków. Zatrzymaliśmy oddechy: oto ostatnia minuta pokoju do przeżycia. (...) Sąsiad spytał: - Gdzie państwo są? I cóż teraz będzie?”

To fragment „Kluczy”, opowieści o pierwszych dniach wojny i o Pani wyjeździe za granicę, do Francji, a następnie do Anglii. W trzydzieści lat później miała Pani zapytać w „Fantomach”: „Po dziś nie wiem, czy na jesieni 1939 r. moja podróż znad Wisły (...) była rzeczywiście konieczna. W każdym razie nie była turystyczna”...

M. KUNCEWICZOWA: - Z Kazimierza wyjechaliśmy dopiero 10 września. Ale najpierw, 3 września, wsiadłam w Puławach do pociągu, i po kilku godzinach podróży zjawiłam się w Warszawie. Myślałam, że moja znajomość języków może się przydać w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nawet nie bardzo chciano ze mną rozmawiać. Zadzwoiłam do Polskiego Radia, które niedawno nadawało moją powieść radiową: „Dni powszednie państwa Kowalskich”. Odpowiedzialna za tę audycję Emilia Grocholska oświadczyła bez chwili wahania: „Proszę jutro do nas przyjść. Oczywiście, wznowimy Kowalskich czyli „Kowalskich w czasie wojny”. Ale następnego dnia nikogo oprócz woźnych już w Radio nie zastałam.

J. KUNCEWICZ: - Zaraz po otrzymaniu wiadomości o wybuchu wojny pojechałem zameldować się do I pułku szwoleżerów, w którego rezerwie pozostawałem. Ale okazałem się niepotrzebny. Zresztą pułk i tak już wyruszył z Warszawy na front.

Udałem się do mieszkania Macieja Rataja: mieliśmy przecież wkrótce spotkać się w Kazimierzu... Rataj chodził zdenerwowany po mieszkaniu, w rękach miał dubeltówkę. - Cóż on - Pomyślałem w pierwszej chwili - do lotników niemieckich ma zamiar strzelać? Nawiasem mówiąc, zaczynały już wówczas krążyć opowieści o samolotach zestrzelonych przez żołnierzy ze zwykłych karabinów. Rozmawialiśmy długo o tym, że Stronnictwo musi połączyć się z wszystkimi grupami opozycyjnymi w stosunku do sanacji. Wypadki na froncie toczyły się jednak o wiele szybciej niż przypuszczaliśmy,..

Chyba 5 września brat mego szwagra, Mieczysław Lepecki, były adiutant Piłsudskiego, zabrał nas swoim samochodem do Kazimierza. Rząd jechał w kierunku Lublina, u nas miała się mieścić część biur Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Józef Beck zatrzymał się w swojej

willi w niedalekim Nałęczowie. Trafiliśmy na zupełne zamieszanie. Do domu ciągnięto z poczty dodatkową linię telefoniczną, z warsztatów Szkoły Rzemiosł znoszono biurka i ławki

M. KUNCEWICZOWA: - Do znajomych, którzy spędzali u nas wakacje, dołączyli pierwsi uciekinierzy. Pojawił się jeden z bliższych współpracowników Becka, dyr. departamentu Drymmer z żoną. Była Maria Tretter-Michałowska, naczelny redaktor warszawskiego „Wieczoru”, Stanisław Strzetelski z rodziną; również z rodziną zatrzymał się u nas Stefan Urbanowicz, członek Stronnictwa Ludowego, adwokat, znany z procesu brzeskiego obrońca Witosa.

M. D.: - W interesującym szkicu: „Słonimskiego droga na emigrację” zamieszczonym w 6 numerze „Twórczości” z bieżącego roku, pisze Karol Estreicher o pobycie w domu Państwa grupy pisarzy z „Wiadomości Literackich”. Wspomina tam, że przyjechali oni z Warszawy do Kazimierza taksówką 5 września.

M. KUNCEWICZOWA: - Przyjechali więc tego samego dnia, w którym my wróciliśmy z Warszawy. Pamiętam ten wieczór i noc, którą spędzili u nas Grydzewski, Słonimscy, Tuwimowie i Stanisław Baliński. Spali wszyscy na siennikach rozłożonych w dużym pokoju na parterze. Pamiętam też, że smażyło się jajecznicę w wielkim miedzianym naczyniu. Rozmawialiśmy niewiele. Byliśmy wszyscy zbyt zaskoczeni, zbyt wstrząśnięci tym co się działo dokoła. Żartowaliśmy. Próbowaliśmy żartować. Przecież znajdowali się wśród nas ludzie słynni na cały kraj z ciętego dowcipu. Tym dowcipem Tuwim i Słonimski próbowali pokryć swoje prawdziwe uczucia...

W pokoju, w którym jedliśmy, stał pod ścianą niezwykle bukiet: wspaniałe, fioletowe mieczyki w oprawie liści kapusty. Ostatnia pozostałość artystowskich wakacji. Ostatni akcent pięknego lata...

J. KUNCEWICZ: - Następnego dnia nasi goście zdecydowali się jednak ruszać w dalszą drogę. Część wybierała się w kierunku Puław, na pociąg, część jechała własnymi samochodami lub wynajętymi taksówkami. Pamiętam dobrze tylko odejście Tuwima. Właśnie - odejście, bo poszedł na dół, do miasta, wózem Małachowskiego i tam miał - wynająć taksówkę. Przystanął jeszcze na naszej „grobli” wiodącej sprzed domu do dalszej części ogrodu, pokłonił się teatralnie, zamiótł kapeluszem po ziemi i powiedział niby to żartem: „Oto Julian Tuwim, poeta polski, idzie na wygnanie”.

M. KUNCEWICZOWA: - My opuściliśmy Kazimierz dopiero w kilka dni później, razem z Urbanowiczami, ich autem.

J. KUNCEWICZ: - Które nam pod Lublinem zarekwirował jakiś oficer dla potrzeb wojska, a my znaleźliśmy miejsce w autobusie MSZ jadącym w stronę Łucka. Tego oficera od rekwizycji widziałem później jeszcze gdzieś na trasie. Jechał naszym samochodem z żoną i papugą.

M. KUNCEWICZOWA: - W Łucku opublikowałam swój ostatni tekst literacki napisany w kraju. Był to apel do kobiet-pisarek zaadresowany do: Colette, Virginii Woolf i Emmy von Ammersküller - wołanie o protest przeciwko bestialstwu Luftwaffe, których byłam świadkiem. Apel zasiał nadany przez polową stację radiową, przewiezioną do Łucka z radiowej ekspozytury lwowskiej. Ironio losu sprawiła, że Emma van Ammersküller stała się niemiecką kolaborantką, Colette powstrzymywała się od działalności antyniemieckiej, a Virginia Woolf w pierwszym okresie wojny popełniła samobójstwo.

Podczas drogi w kierunku Rumunii zaczęłam robić pierwsze notatki do „Kluczy”. Dopiero w 1946 roku, w Anglii, wróciłam do wątku „Męża Róży” przerwanej przez wojnę. Powstał wtedy „Leśnik”. Ale to już była zupełnie inna książka.

J. KUNCEWICZ: - W Kosowie, 17 września 1939 r., znalazłem w opustoszałym urzędzie miejskim nie wypełnione książeczki paszportowe. Były rozrzucone na podłodze. Wziąłem dwie książeczki i wpisałem do nich nazwiska - żony i swoje. Z takimi oto paszportami przekroczyliśmy granicę Rumunii.

M. KUNCEWICZOWA: - Pytał mnie niedawno pewien młody dziennikarz, co by się stało, gdybym wówczas, w 1939 r., nie wyjechała z kraju. Odpowiedziałam mu, że pewnie powiększyłabym stan posiadania literatury martyrologicznej. Najtrudniej jest ocenić konieczności własnego losu. Wiem na pewno tylko jedno: że wtedy Tuwim, Słonimski, Baliński, Wierzyński, między innymi i ja - ponieśliśmy literaturę polską w świat.

Pierwodruk: „Kamena”, 1977, nr 20, s. 1, 8.